

III. ROZMOWY W REDAKCJI

Otwieramy nowy dział w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym”, którego tytuł nie musi być rozumiany dosłownie. Intencją redakcji jest, aby w dziale tym mogli wypowiadać się badacze – i ci prominentni i ci mniej znani – na tematy, które uważają za ciekawe i ważne, a które albo nie były dotąd znane, albo były poruszane tylko marginalnie, gdyż bądź dotyczyły kwestii bardzo osobistych, bądź tworzyły zaplecze publikowanych tekstów naukowych. Prawda, że „Czasopismo Prawno-Historyczne” często zamieszczało informacje o ważnych wydarzeniach w życiu naukowym środowiska, prezentowało sylwetki „swoich” badaczy, pisało o najważniejszych faktach stanowiących ich naukowe biografie, omawiało ich dorobek, ale nader rzadko oddawało głos im samym, nie pytało ich o to, co oni sami uważają za inspirację czy motyw jakiegoś sukcesu czy przesłankę jakiegoś niepowodzenia, jak sami oceniają fakty, o których pisaliśmy lub których się tylko domyślaliśmy. Otwieramy dział „Rozmów w redakcji”, bo jesteśmy przekonani, że mogą one wzbogacić naszą wiedzę o ludziach, którzy odgrywają określoną rolę w środowisku i tym samym pomóc w pogłębieniu stanu naszego rozeznania w historii dyscyplin historyczno-prawnych. Pierwszym naszym rozmówcą jest profesor Józef Matuszewski.

Profesor Józef Matuszewski

Z okazji nadania Profesorowi Józefowi Matuszewskiemu tytułu doktora *honoris causa* przez Uniwersytet Łódzki w dniu 24 maja 2001 r. (por. sprawozdanie w CPH LIII, 2001, z. 2, s. 291-292) koledzy – historycy prawa z Łodzi przygotowali ulotkę z życiorysem naukowym Profesora. Przytaczamy ją *in extenso*.

Nestor polskich historyków państwa i prawa, rocznik 1911, Wielkopolań. W 1929 r. ukończył 8-klasowe gimnazjum staroklasyczne w Gostyniu (8 lat nauki łaciny, 5 lat greki) i w tymże roku rozpoczął studia na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. Uczestnik seminariów Zygmunta Wojciechowskiego, Kazimierza Tymienieckiego, Jana Rutkowskiego, Henryka Ułaszyna i Edwarda Klicha, dyplom magistra prawa otrzymał w 1933 r., magistra ekonomii – w roku 1936. Doktorat nauk prawnych uży-

skał w 1936 r. na podstawie pracy pt. *Immunitet ekonomiczny w dobrach Kościoła w Polsce do r. 1381*. Jako stypendysta Funduszu Kultury Narodowej studiował w latach 1936–1939 na Ecole des Chartes w Paryżu nauki pomocnicze historii, filologię romańską oraz historię prawa i ustroju Francji. Okupację przeżył w Generalnej Guberni. Po wojnie wrócił do Poznania i na tamtejszym Uniwersytecie uzyskał kolejne szczeble naukowe: habilitował się w 1949 r. (na podstawie pracy o prawie rugijskim), w 1954 r. został profesorem nadzwyczajnym, w 1959 r. – profesorem zwyczajnym. Od 1961 r. jest profesorem na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego, do roku 1981 kierował Katedrą Powszechnej historii państwa i prawa. W 1981 r. przeszedł na emeryturę, ale pracuje do dziś na części etatu.

Jeden z największych polskich historyków państwa i prawa o ugruntowanej od wielu dziesięcioleci sławie naukowej w kraju i za granicą. Jest reprezentantem wielkich tradycji i ciągłości w polskich dyscyplinach historycznoprawnych, ich żywotności od Oswalda Balzera, po przez Zygmunta Wojciechowskiego po dzień dzisiejszy. Jego dorobek naukowy obejmuje ok. 250 pozycji, w tym ok. 20 monografii i ok. 30 studiów sięgających rozmiarami do 100 stron druku. W zasadzie mediewista, z powodzeniem penetruje dziedzinę z epoki współczesnej. Twórczość naukowa Józefa Matuszewskiego cechują przede wszystkim wszechstronność zainteresowań, popartych dogłębną znajomością źródeł i metod badawczych oraz skłonność do podejmowania tematów interdyscyplinarnych, ze styku filologii i historii państwa i prawa. Do perfekcji doprowadził precyzję pojęciową i jasny język wykładu. Jest mistrzem krytyki naukowej, świetnym wydawcą źródeł.

Z Profesorem Józefem Matuszewskim rozmawia Henryk Olszewski

H.O.: Panie Profesorze, studiując bibliografię Pana prac opublikowanych na przestrzeni ponad sześciu dziesiątków lat, nie odnosi się wrażenia, by w Pana życiu zaznaczały się trzy okresy, w których klimat i warunki pracy twórczej przedstawiały się diametralnie różnie. Zarówno pod względem tematycznym jak i warsztatu naukowego przedstawia ona monolit. Proszę przedstawić swój intelektualny rodowód.

J.M.: Nie ma w nim nic, co by odbiegało od zwyczajności. Podjąłem studia prawnicze, byłem zauroczony historią. Stąd oczywiste, że historia prawa stała się moją główną dziedziną zainteresowań i przedmiotem pasji. Jeżeli w Poznaniu chciało się uprawiać historię prawa szło się na seminarium do Zygmunta Wojciechowskiego. Cieszył się autorytetem: uosabiał wielką tradycję lwowską, był uczniem Balzera, swe więzi ze szkołą Balzera podkreślał przy każdej okazji. Jako jej cnoty traktował wierność źródłom, umiejętność ich czytania, szerokość pól zainteresowania, bliskość prawa czyli jedność pra-

woznawstwa. Na seminariach czytaliśmy i komentowaliśmy średniowieczne kodeksy. Uczęszczałem na nie – jak inni – po doktoracie i jeszcze po wojnie.

H.O.: Czy nie stanowiło przeszkody w rozwijaniu naukowej współpracy to, że Zygmunt Wojciechowski był mocno zaangażowany w politykę, że należał do bliskich przyjaciół Dmowskiego a jego koncepcja ziem macierzystych Polski miała implikacje jednoznacznie polityczne?

J.M.: Zygmunt Wojciechowski był politykiem i swoich politycznych pasji nie krył, był też działaczem społecznym. Myślę, że polityka była w jego twórczości często obecna. Był autorem politycznym w tym sensie, że wiele jego tekstów pisanych w konwencji naukowej, powstawało jako wyraz politycznego *credo*, z myślą o polityce. Wiedzieliśmy o tym i On wiedział również. Zaangażowanie w życie polityczne traktował jako obywatelską powinność. Uważał, że nauka powinna być społecznie użyteczna. Oczywiście upraszczał, formułując teorię ziem macierzystych: przystawała ona do jego koncepcji Polski z prasiędzibą nad Odrą i Bałtykiem. Ubolewał zresztą nad tym i nigdy nie poruszał kwestii politycznych na wykładach czy w czasie posiedzeń seminaryjnych, na których uczył nas rzetelnego warsztatu. Pamiętam, jak kiedyś powiedział do mnie: „Panie Józefie, niech się Pan z dala trzyma od polityki, bo zejdzie Pan na psy, jak ja”. Tak samo mówił moim seminaryjnym kolegom: Zdzisławowi Kaczmarczykowi, który był jego ulubionym uczniem, Kazimierzowi Kolańczykowi, Michałowi Sczanieckiemu, Kazimierzowi Ślaskiemu, Stefanowi Weymanowi i uczniom uczniów. Szanowaliśmy go za to.

H.O.: Czy można powiedzieć, że Zygmunt Wojciechowski był twórcą szkoły naukowej?

J.M.: Był, choć sam być może nie udzieliłby na to pytanie twierdzącej odpowiedzi, do końca bowiem uważał się za ucznia szkoły Balzera. Faktycznie był mistrzem w każdym calu, czującym się za nas odpowiedzialnym, za nasze naukowe dokonania i za nasze postawy jako obywateli. Byliśmy wielką rodziną, patriarchalno-rodzinna była atmosfera seminariów, które odbywały się w jego mieszkaniu przy ul. Mazowieckiej, po wojnie zaś przy ul. Góralskiej. Wojciechowski znał nasze problemy, interesował się nimi, pomagał przez cały czas, ułatwiał nam start. To dzięki niemu mogliśmy w latach trzydziestych wyjechać jako stypendyści Funduszu Kultury Narodowej do Francji. Ponadto łączyła nas więc tematyczna: immunitet, kolonizacja późnośredniowieczna, najstarsze prawo spadkowe, teoria rodowa, cła i drogi w Polsce piastowskiej, Dzieje Śląska i Ziemi Lubuskiej, monarchia Kazimierza Wielkiego – to były tematy, które tworzyły pewną całość. Staraliśmy się o obiektywizm w ocenie historiografii niemieckiej i Zygmunt Wojciechowski nam w tym nie przeszkadzał. Była to zatem szkoła, jeżeli jako jej konstytutywną cechę rozumieć wspólnotę świadomej do niej przynależności, wspólnotę

celów. Jak silna była więź uczniów z mistrzem, miał pokazać czas wojny i okupacji, kiedy nie ustały wzajemne kontakty, a Wojciechowski nie zaniechał pomagania swoim uczniom. Najwięcej o tym mogliby powiedzieć Zdzisław Kaczmarczyk, który mógł się w warunkach konspiracji habilitować, i Kazimierz Kolańczyk, któremu Mistrz umożliwił wydrukowanie w okupowanym Krakowie rozprawy doktorskiej.

H.O.: Zygmunt Wojciechowski nie był jedynym profesorem, którego seminarium Pan Profesor odwiedzał...

J.M.: Kłóciłoby się to z założeniami, z jakimi podejmowałem studia: chciałem wiedzieć jak najwięcej, intuicyjnie czułem, że sukces badawczy wymaga wszechstronnej wiedzy. Ukształtowane przez akademicką tradycję podziały między różnymi działami humanistyki mnie irytowały. Szukałem więc autorytetów naukowych, badaczy, którzy chroniliby mnie przed specjalizacją w jednym temacie. Szybko nauczyłem się cenić Jana Rutkowskiego, który wykładał historię gospodarczą na sekcji ekonomicznej Wydziału i prowadził seminaria w sposób odbiegający od rutyny, wprowadzając elementy teorii do badań historycznych i wdrażając do pracy naukowej. Nie było tu tego rozmachu, jaki widoczny był wokół Wojciechowskiego; były natomiast ład metodologiczny i troska o doskonalenie warsztatu. U Rutkowskiego można się było wiele nauczyć, bo był bardzo wymagający. Poza tym chodziłem na seminaria Kazimierza Tymienieckiego z historii średniowiecznej, Henryka Ułaszyna, znawcy języka staropolskiego (tajemnice gramatyki zawsze mnie frapowały) oraz Edwarda Klicha, zamordowanego przez Niemców w 1939 r., wybitnego specjalisty języka starocerkiewnego, zbliżonego – jak dziś wiemy – do języka prasłowiańskiego. Miało mi się to później bardzo przydać.

H.O.: Po doktoracie był Paryż – studia na Ecole des Chartes. Jak one wyglądały? Przeglądając zeszyt z protokołami posiedzeń Rady Wydziału Prawno-Ekonomicznego UP za lata 1945 – 1949 natknąłem się na wzmiankę, że rezultatem pobytu Pana Profesora w Paryżu był maszynopis gotowej pracy habilitacyjnej, który w zawierusze wojennej miał zagać. Uwaga tej treści mieściła się we wniosku Zygmunta Wojciechowskiego o powołanie Pana na zastępcę profesora w wakującej Katedrze historii prawodawstw słowiańskich. Czego dotyczył maszynopis pracy?

J.M.: W Ecole des Chartes nie prowadziłem działalności badawczej. O pracy habilitacyjnej jeszcze nie myślałem. Po prostu byłem studentem: chodziłem na wykłady tych profesorów, których nazwiska były mi znane. Studiowałem historię ustroju i prawa Francji, pogłębiałem swą wiedzę o naukach pomocniczych historii. Zapoznawałem się z podstawami filologii romańskiej. Skończyłem III rok, kiedy w związku z bliskością wojny wróciłem – za radą Z. Wojciechowskiego – do Poznania.

H.O.: Po kilku tygodniach wybuchła wojna, a do Poznania wkroczyły wojska niemieckie. Uniwersytet zaprzestał działalności; gmachy zostały zaplombowane, profesorowie zmuszeni do ukrywania się. Część z nich – z Zygmuntem Wojciechowskim – znalazła się w obozie dla zakładników wojennych. Proszę powiedzieć o swoich wojennych losach, o których wiemy tylko tyle, że zawiodły Pana Profesora na Podlasie?

J.M.: Moje nieszczęście polegało przede wszystkim na tym, że zostałem całkowicie pozbawiony możliwości prowadzenia badań. Pozostawałem całkowicie odcięty od książki – bez środków do życia i bez perspektyw. Oczywiście żyłem, w czasie kiedy tyłu ginęło, ale pociecha była to niewielka; w walce o byt upłynęło mi ponad pięć lat.

Z Poznania, gdzie groziło mi aresztowanie, uszedłem do rodzinnego Goścynia, stamtąd los zawiodł mnie na Wschód, do Radzyna Podlaskiego, gdzie moja siostra otrzymała posadę aptekarki. Byłem pracownikiem magistrackim w latach 1939–1940, prowadzącym biuro meldunkowe, potem zostałem pracownikiem niemieckiej firmy handlowej Einsatzfirma Corsen-Overbeck, która potrzebowała mnie, bo znałem język niemiecki. Byłem ekspedientem, tłumaczem, wreszcie księgowym, który sporządzał bilanse. Zarabiałem 500 zł i otrzymywałem talony. Kiedy Niemcy zaczęli opuszczać Podlasie w miarę przesuwania się frontu na Zachód, również ja z żoną musiałem spakować skromny dobytek. Znaleźliśmy się w Warszawie na tydzień przed wybuchem powstania. W czasie walk angażowano mnie do wznoszenia barykad. Po klęsce wywieziono nas do obozu przejściowego w Pruszkowie. Podąłem się za gruzlika, bo chcieliśmy uniknąć wywiezienia na roboty do Niemiec; po dramatycznych przygodach dotarliśmy do Kielc, gdzie serdecznie zaopiekowali się nami pp. Niesiobędzcy, mieszkający – pamiętam to dokładnie – przy ul. Spacerowej 9. Wspominam tę opiekę do dziś z wielkim wzruszeniem. Z czasem zamieszkaliśmy we własnym mieszkaniu przy ul. Żytniej 2. Nie mieliśmy środków do życia. Czas wypełniał mi udział w tajnym nauczaniu. To paradoks, że trafiłem doń dopiero pod władzę bolszewików. Z nakazu Z. Wojciechowskiego, z którym od czasów warszawskich pozostawałem w kontakcie, powróciłem do Poznania. Był 3 maja 1945 r., na peronie dworca kolejowego czekali na mnie Zdzisław Kaczmarczyk i Janusz Deresiewicz, którzy zaprowadzili mnie do wynajętego przez dziekana Wojciechowskiego mieszkania. Uznałem to za sygnał, że Wydział Prawa UP zamierza ponownie nawiązać ze mną współpracę. Pojawiła się wizja stabilizacji i powrotu do badania.

H.O.: Rozpoczęła się „era poznańska” w życiu Pana Profesora, druga „epoka geologiczna” (jak to kiedyś wyraził się o swoich losach Zygmunt Wojciechowski), czas, w którym osiągnął Pan najwyższe szczeble w akademickiej hierarchii.

J.M.: Początki były trudne, z jednej strony porażały, bo Uniwersytet trzeba było w pierw odgruzować i przystosować do normalnego działania, z dru-

giej budziły optymizm, bo zajęcia dydaktyczne rozpoczęły się, zanim skończyła się wojna. Na przemian więc usuwaliśmy gruz, porządkowaliśmy księgozbiór i zarazem prowadziliśmy wykłady, ćwiczenia i seminaria. Dojrzewaliśmy w trakcie tych prac, byliśmy przekonani o ich sensowności, zbliżaliśmy się do siebie. Powoli wracali ostatni profesorowie, którzy przeżyli wojnę i okupację, większość studiujących znała Wydział jeszcze sprzed wojny. Pod czujnym okiem Zygmunta Wojciechowskiego, który kończył swą kadencję dziekana, którym był od czerwca 1939 r., Wydział odzyskiwał swoje dawne oblicze. Bo w istocie zrazu chodziło przede wszystkim o to, by wszystko wróciło do starego stanu: tok studiowania, profesorowie i nieliczni asystenci, struktury, akademicki rytuał.

H.O.: Wydział nie był jedynym centrum, skupiającym historyków prawa w Poznaniu. Ważną placówką stawał się założony przez Wojciechowskiego jeszcze w czasie wojny Instytut Zachodni, aktywnie działał miejscowy Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego, wracało na scenę Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, na czele którego stali Zygmunt Lisowski i Zygmunt Wojciechowski. W Instytucie Zachodnim nie rozwijał Pan Profesor żywszej aktywności?

J.M.: Praca w Instytucie Zachodnim istotnie mnie nie pociągała: wiele w niej było ostentacji politycznej, Instytut szczyił się swoją „zachodnią” orientacją, był placówką półrządową. Z sympatią i podziwem obserwowałem pełną oddania sprawie ziem zachodnich pracę swoich kolegów, ale sam w niej nie uczestniczyłem, po pierwsze dlatego, że Wojciechowski nie widział tu dla mnie poczesnego miejsca, po drugie z tej racji, że długie ekspedycje na Ziemię Odzyskane rujnowały zdrowie i zabierały czas. Mnie fascynowało PTPN a ściślej jego aktywność badawcza. Przez jedenaście lat pełniłem funkcję sekretarza Komisji Historycznej PTPN i co dwa tygodnie, w środy o godz. 18.00 organizowałem spotkania naukowe. Nie pamiętam, aby kiedyś takie spotkanie wypadło z mojej winy. Była to działalność na małą skalę, skromna ale – jak do dziś sądzę – bardzo pożyteczna. Na zebrania przychodziły tłumy – podobnie jak na również co dwa tygodnie organizowane spotkania poznańskiego oddziału PTH.

H.O.: Pamiętam, że sam wielokrotnie występował Pan Profesor na tych spotkaniach w roli referenta.

J.M.: Prezentowałem rezultaty swoich przemyśleń, przedstawiałem wyniki swych badań, często wręcz prowokowałem obecnych do wymiany poglądów. Zwłaszcza wtedy, kiedy rezultatu swej pracy nie do końca byłem pewny. Lubilem dyskusję, uważam do dziś, że ścieranie się racji to warunek *sine qua non* postępu w nauce. Spotkania w Komisji Historycznej cieszyły się sławą; przyjeżdżali na nie badacze z całego kraju: referaty wygłaszali Jan Adamus, Adam Yetulani, Seweryn Wysłouch, Tadeusz Lehr-Spławiński, Karol Górski, Władysław Czapliński i wielu innych, także zagra-

nicznych badaczy. Moje dyskusje z Adamem Vetulanim czy Gerardem Labudą miały swój początek właśnie w sali PTPN przy ul. Mielżyńskiego 29. Oczywiście brałem też udział w dyskusjach, jakie organizował Oddział PTH oraz w tych, które toczyły się w Zespole Katedr Historyczno-Prawnych na Wydziale Prawa Uniwersytetu. Ten Zespół Katedr reprezentował w pierwszej dekadzie po wojnie wielką dynamikę twórczą, zwłaszcza kiedy żyli jeszcze Wojciechowski i Rutkowski; tworzyli go wytrawni uczeni, do których powoli zaczęli dołączać młodzi badacze, którzy – jak Bogdan Lesiński – rozpoczęli karierę naukową już po 1945 r. Wymiana poglądów, ostra, ale fair prowadzona polemika pozwalały mi zawsze wzbogacać swe teksty; w toku wymiany zdań lepiej mogłem bronić swych racji: poznawszy racje naukowego adwersarza, mogłem je lepiej uzasadniać. Dlatego nigdy nie traciłem okazji, aby do polemiki doprowadzić. Różnice w naukowych poglądach nigdy nie psuły osobistych czy towarzyskich stosunków z moimi rozmówcami. Z Adamem Vetulanim połączyły mnie z czasem więzy szczerego szacunku i przyjaźni. Ci, którzy się obrażali, znajdowali się w znikomej mniejszości. Szkoda, że dziś krytyka naukowa tak podupadła. Dziś autorzy z reguły oczekują komplementów, pochwał, ba – pochlebstw; nie potrafią przyjmować krytyki, biorą ją za rodzaj zniewagi. Upadek krytyki naukowej poważnie zagraża samym podstawom nauki.

H.O.: Dystans do działalności, która nie łączyła się bezpośrednio z pracą badawczą stanowił jedną z przyczyn, dla których w niebywałym tempie rosła liczba znakomitych, źródłowych ale zarazem i syntetycznych prac, w naturalny sposób przynoszących autorowi stopnie i tytuły. Dla nas – najmłodszych – był Pan Profesor niedościgłym wzorem rzetelności i pracowitości. Bogdan słusznie pisał na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego” w świetnym eseju z okazji odnowienia doktoratu w 1988 r., że był Pan badaczem, który najbardziej wiernie przestrzegał zasady: *Nulla dies sine linea*. Sam pamiętam ów stukot maszyny do pisania, jaki rozlegał się od rana za drzwiami pokoju 223 w ówczesnym Collegium Philosophicum przy ul. Matejki. Stała tam też stara leżanka, na której Pan Profesor odpoczywał, aby nie tracić czasu na przejazdy do domu.

J.M.: Tak w istocie było. Nawyk pracy wyniosłem chyba jeszcze z domu. Lubiłem dociekanie, nienawidziłem tego, co mnie od niego odwodzi.

H.O.: Pragnę zapytać, kiedy zostały zebrane materiały, które posłużyły do napisania wielkich monografii lat czterdziestych: o prawie rugijskim (1947), na temat artykułów słowiańskich Zwierciadła Saskiego (1948), o biskupstwie lubuskim (1949). To ostatnie studium, formalnie stanowiące artykuł recenzyjny z książki Herberta Ludata, faktycznie było pracą pionierską, która górowała nad poziomem rozważań niemieckiego autora. Odślonił Pan w nich wszystkie znane później walory swego warsztatu: umiejętność egzegezy źródeł i obalania tez wysuwanych przez przeciwnika w sposób – by tak

rzecz – kompleksowy, doskonałą znajomość literatury niemieckiej, wykorzystanie metody filologicznej, jasność wyrażania myśli, prostotę stylu.

J.M.: Studia nad prawem rugijskim, a także obie rozprawy, które udało mi się umieścić w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym” powstały w wyniku kwerend, prowadzonych już po wojnie. Tematy podsuwał zrazu Wojciechowski, wykonanie było moje. Pamiętam, że bardzo byliśmy wtedy głodni pracy, wszyscy pracowaliśmy bardzo intensywnie. Naturalnie zdawałem sobie sprawę z tego, kim był Ludat, wiedziałem, jaką grał rolę w Reichsuniversität Posen. Byliśmy bardzo wyczuleni na tendencje obecne w przedwojennej i wojennej nauce historycznej niemieckiej, ale myślę, że gdybym recenzował tekst Ludata dziś, nie pisałbym o nim inaczej. Poddawałem krytyce jego poglądy naukowe, nie polityczne.

H.O.: Image Pana Profesora w poznańskich latach trochę odbiegał od wizerunku przeciętnego profesora Wydziału: uczony zatopiony w książkach i niechętnie opuszczający swój gabinet, noszący długą brodę (po jej zgoleniu bodaj w ostatnich latach pięćdziesiątych Zdzisław Kaczmarczyk żartował, że na periodyzację historii Polski Ludowej trzeba patrzeć jako na okres z brodą i okres bez brody), wykładający spokojnie, równym rytmem, pozbawionym wzruszeń, nie wdający się w konfidencję ze studentami, nie wyróżniony chyba nigdy funkcją opiekuna roku czy grupy studenckiej, wymagający egzaminator (wymagający także w stosunku do aktywu organizacji młodzieżowych) nie cieszył się – jak się zdaje – szczególną protekcją ówczesnych władz. W papierach Zespołu zachował się tylko jeden dokument, w którym zobowiązywał się Pan – jak inni – do odbycia dla uczczenia bodaj święta 1 maja dodatkowych konsultacji ze studentami za sumę 1.500 zł. Wszystko to przesądzało, że Pański wizerunek bliższy był uczonemu „burżuazyjnemu” niż takiemu, który był pożądanym w kraju, szczącym się budowaniem socjalizmu. Nie został Pan wyznaczony do składu delegacji udającej się na konferencję metodologiczną w Otwocku, która miała dokonać przełomu marksistowskiego w naukach historycznych w Polsce. Pana nazwisko nie figuruje wśród dyskutantów i uczestników.

J.M.: Jakże, w Otwocku byłem. To prawda, że zabrakło mnie w oficjalnej delegacji, ale otrzymałem imienne zaproszenie od samego Borysa Grekova. Przewodniczący delegacji radzieckiej chciał osobiście poznać historyka, który zainteresował go rozprawą o „polskiej Prawdzie”, jak nazywał najstarszy zwód prawa polskiego. Kiedy przyjechałem specjalnym samochodem, traktował mnie z ostentacyjną serdecznością, trzymał pod rękę podczas wspólnych spacerów w parku i informował moich zdezorientowanych kolegów: eto krupny uczoney. Do prawdy trudno mi powiedzieć, czy ten obrazek miał jakieś znaczenie dla moich losów.

H.O.: Panie Profesorze, czy Pan po 1945 r. choć raz wyjechał za granicę w celach naukowych?

J.M.: Nie przypominam sobie.

H.O.: Latem 1959 r. rozeszła się na Wydziale i szeroko komentowana była w klubie pracowników Wydziału wiadomość o kandydowaniu Pana Profesora na stanowisko dziekana i to przeciwko kandydatowi popieranemu przez PZPR. Z miejsca pojawiła się pogłoska, że działająca jakoby na Wydziale „grupa antypartyjna” postanowiła zewrzeć szeregi i objąć władzę. Idea ta znalazła pożywkę w fakcie, że wygrał Pan także następne wybory w 1961 r. i ustąpił dopiero pod zmasowanym naciskiem kierownictwa uczelnianych władz PZPR. Proszę na chwilę wrócić wspomnieniami do tamtych lat.

J.M.: To ponure wspomnienie. Myśl o pełnieniu nad kimś „władzy” była mi zawsze daleka, myśl o tym, by pełnić kierownictwo na Wydziale – władza dziekana była tu zresztą iluzoryczna – była mi wręcz obca. Ale zaczęto mnie namawiać, przychodzili koledzy i tłumaczyli, że można coś dla Wydziału zrobić, osłabić rządy organizacji partyjnej, przywrócić mu status korporacji wolnej od psychicznej presji itp. Zwłaszcza profesor Marian Zimmermann mocno naciskał. Uległem i od razu tego pożałowałem. Nie byłem typem „uczonego politycznego”, nie miałem żadnej wprawy w użeraniu się z przeciwnikami, którzy uznawali argumenty, które w mej działalności badawczej nigdy nie występowały. Wydział był już mocno zideologizowany; walka z polityką przekraczała moje siły. Odetchnąłem, kiedy ten ponury dla mnie epizod się skończył.

H.O.: Dwa lata po zakończeniu tej swoistej „przygody” opuścił Pan Profesor Poznań i przeniósł się na Wydział Prawa i Administracji w Uniwersytecie Łódzkim. Czy przenosiny były wymuszone sytuacją, jaka dla Pana powstała na macierzystym Wydziale, atmosferą czy naciskami?

J.M.: Nie chciałbym się w tej sprawie wypowiadać. Przenosiny profesorów z jednego uniwersytetu na drugi tylko w Polsce uważane były, a i nadal są za zjawisko nadzwyczajne.

H.O.: Zapytam inaczej: czy na początku swej pracy w Łodzi czuł się Pan bardziej banitą czy bardziej misjonarzem?

J.M.: Ani jedno ani drugie. Kiedy dziś oglądam się za siebie, nie mogę nie stwierdzić, że Poznaniowi zawdzięczani bardzo wiele. Cała moja młodość wiąże się z tym miastem i jego uniwersytetem. Z niekłamanym wzruszeniem odbierałem w 1988 r. odnowiony po pięćdziesięciu latach doktorat tej Uczelni; w czasie podniosłej uroczystości zobaczyłem na sali wielu znajomych, spotkałem młodszych kolegów, no i uczniów, wśród nich nieodżałowanego Bogdana Lesińskiego, który całą uroczystość organizował. Poznań mnie może nie rozpieszczał, ale przecież przez długi czas zapewniał wszystko, czym dysponował. Z wielką estymą wspominam swoich poznańskich mistrzów i całe środowisko historyczno-prawne. W latach pięćdziesiątych klimat na Wydziale i Uczelni zaczął się psuć. Polityka wkraczała na Wydział i zaczęła ludzi dzielić. Ale tak było pewnie nie tylko w Poznaniu. Dlatego moje przejście na Uniwersytet Łódzki miało w sobie znamiona naturalnego odruchu. Było też krokiem, którego nigdy nie żałowałem.

Łódź mnie potrzebowała. Właśnie zmarł Jan Adamus, badacz świetny, jeden z największych historyków prawa XX wieku, stanowczo niedoceniany. Wcześniej odszedł Stanisław Śreniowski. Nie było już Borysa Łapickiego, Cezary Kunderewicz częściej niż w Łodzi przebywał w Warszawie. Henryk Grajewski chorował, młodzi – młodzi niekoniecznie z metryki – nie mieli należytej opieki. Byłem więc przyjmowany z otwartymi ramionami. Stworzono mi optymalne warunki pracy. Przyszły funkcje i zaszczyty, przed którymi nie można się było na dłuższą metę bronić: dostałem katedrę, przez dwadzieścia lat pełniłem funkcję dyrektora Instytutu Historii Państwa i Prawa. Nawet po osiągnięciu wieku emerytalnego nie położono na mnie krzyżyka: wciąż jestem pracownikiem Uniwersytetu i czuję się członkiem jego wspólnoty. Przed rokiem Uczelnia nadała mi godność najwyższą – doktorat honoris causa. Działam w Łódzkim Towarzystwie Naukowym. W Łodzi mogłem odnieść sukces jako mistrz, który sam wychował profesorów, uczonych, z których jestem dumny. Poszli – jak niegdyś Lesiński w Poznaniu – w moje ślady: zostali badaczami średniowiecznego prawa prywatnego, wspomagają tym samym moje badania, uzupełniają je.

H.O.: Już jako Łodzianin napisał Pan Profesor wiele ze swoich książek. Tu powstały m.in.: *Polskie nazwisko szlacheckie* (1975), *Słowiański tydzień* (1978), *Relacja Długosza o najeździe tatarskim* (1980), *Najstarsze polskie zdanie prozaiczne* (1981), *Geneza polskiego chama* (1982), *Annales seu Cronicae Jana Długosza w oczach Aleksandra Semkowicza* (1987), *Cham* (1991) i *Najstarszy zwód prawa polskiego* (1995). Książki to – wiadomo – znakomite, ale nie ma wśród nich syntezy polskiego prawa prywatnego, nowego Dąbkowskiego.

J.M.: To zadanie dla młodszych, dla następnego pokolenia.

H.O.: Jak Pan Profesor zdefiniowałby swoje naukowe plany na najbliższe lata?

J.M.: W moim wieku nie ma się naukowych planów.

H.O.: Nad czym Pan obecnie pracuje?

J.M.: Właściwie nad niczym.

H.O.: Jaki tekst mógłbym dziś zabrać do publikacji w najbliższym zeszytcie CPH?

Podejdźmy do komputera. Mam tu kilkadziesiąt tekstów rozpoczętych, kilkanaście jest zaawansowanych, ale jeszcze nie całkiem gotowych, kilka jednak od dawna czeka na druk. Dojrzały po leżakowaniu i te możesz zabrać. Z komputerem związałem się na dobre i złe dość późno, bo dopiero kiedy ukończyłem 80 lat. Dziś nie mógłbym już pracować bez niego. Przekonałem do niego syna. Niezłe już sobie radzi. Komputer znaczy dla mnie jeszcze więcej niż w Poznaniu znaczył brydż.